

Katyń 1940

<http://katyn.ipn.gov.pl/kat/polecamy/5957,Nawet-bezpieka-tonowala-represje-gdy-slyszala-Katyn.html>
2018-06-21, 08:34

Nawet bezpieka tonowała represje, gdy słyszała „Katyń”

: Krzysztof Kopec
[Rejestr zmian](#)

Rozmowa z Adamem Macedońskim, twórcą Instytutu Katyńskiego, działaczem opozycji niepodległościowej

- Jesienią 1939 roku sowiecka armia brała do niewoli polskich żołnierzy, którzy - w ogromnej większości - nie podejmowali z nią walki, posłuszni rozkazowi Wodza Naczelnego Edwarda Śmigłego-Rydza. Oficerów uwięziono w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

- Kartka z obozu w Starobielsku od najmłodszego brata mojego ojca, podporucznika 52. pułku piechoty w Tarnopolu Józefa Macedońskiego przyszła do ciotki Julii Szpakowej - siostry ojca do Złoczowa na początku 1940 roku. Przed wojną Józef był kancelistą w Urzędzie Miasta w Złoczowie. Powołany do wojska tuż przed wybuchem wojny, trafił do Starobielska. O kartce wysyłanej przez niego stamtąd dowiedzieliśmy się dopiero pod koniec wojny, kiedy przywiozła ją ciotka, która uciekła przed Sowietami do Krakowa. Józef był pewien, że wróci, pisał o losach kolegów po ukraińsku, bo myślał, że Ukraińców będą zwalniali do domu.

- Pan nie został wywieziony ze Lwowa, jak wielu innych Polaków.

- Mieliśmy z rodziną wyjątkowe szczęście. Kilka razy Sowietci przyjeżdżali pod naszą kamienicę, wykrzykiwali nazwisko „Macidonskij”, ale do nas nie trafili. Dom stał przy Łyczakowskiej, więc we wszystkich dokumentach było zapisane „Łyczakowska”, ale kamienica była podzielona między dwóch braci - współwłaścicieli i wejście do naszego mieszkania znajdowało się przy bocznej ulicy Dobrzańskiego. Kiedy Sowietci wpadli na to, żeby wejść z drugiej strony, nas już nie było.

- W marcu 1940 roku Biuro Polityczne WKP(b) podjęło decyzję o wymordowaniu około 25 700 Polaków z obozów dla jeńców wojennych i więźniów.

- Wówczas nie znaliśmy losów polskich oficerów. Byliśmy świadkami dantejskich scen w samym Lwowie: enkawudziści zabierali Polaków po nocach, wywlekali ludzi na śnieg i mróz.

Najpotrzebniejsze rzeczy mieliśmy spakowane. W dzień spaliśmy, w nocy siedzieliśmy na walizkach, bo wtedy chodziło NKWD. Matka sprzedała fortepian. Spodziewaliśmy się, że nas wywożą, bo przecież brali wszystkich policjantów z rodzinami - takie wieści krążyły. Ludzie mówili, że policjantów albo na miejscu zabijają, albo gdzieś wywożą.

Żonę brata ojca, Aleksandra i jego dwóch synów Sowietci wywieźli wagonami bydłocymi aż do Kazachstanu jako rodzinę oficera polskiego. Jeden z chłopców miał siedem lat, drugi - pięć.

Przeżyli wojnę. Gdyby nie kradli, pomarliby z głodu. Ciotka, która przed wojną była nauczycielką, znała ukraiński, zatrudnili ją więc w administracji kołchozu. Jakoś przetrwali. Stryj Aleksander zgłosił się dobrowolnie pod nazwiskiem Stanisław Pałka – miał dokumenty kogoś zmarłego – na wyjazd do Sowietów do pracy w sowchozie, bo chciał szukać rodziny. Kiedy NKWD zabrało jego żonę i synów, stryj się ukrywał. Sowieci wysłali go na Syberię, zatrudnili go w administracji sowchozowej. Nie wpadł w Rosji na ślad żony.

- Kiedy Panu z matką i siostrą udało się wyrwać z sowieckiego piekła pod okupację niemiecką, trwała akcja wywożenia jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Zaczęły się egzekucje. Trwały do 22 maja (w Kalininie).

- Nie mieliśmy pojęcia, że w tamtym czasie zginął najmłodszy brat ojca, o którym wspominałem - Józef, więzień Starobielska. Jeszcze długo po wojnie ojciec z siostrą i bratem szukali go przez Czerwony Krzyż. A zamordowali go Sowieci w Charkowie.

- Spisy nazwisk ofiar z trzech obozów: Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska zaczęto publikować w Polsce w latach 90. na podstawie list przekazanych Polsce przez Rosjan w 1990 roku.

- Dopiero wtedy znalazłem nazwisko stryja Józefa w „Wykazie akt ewidencyjnych jeńców wojennych, którzy opuścili obóz NKWD w Starobielsku” pod numerem 2148.

- Długo myślał Pan o założeniu Instytutu Katyńskiego i wreszcie udało się ten pomysł urzeczywistnić.

- Chciałem ocalić dokumenty i relacje o Katyniu, o wywózkach na Wschód. Miałem sporo literatury na ten temat, spotykałem się z wieloma ludźmi, rozmawiałem. Ale wszyscy się bali. Przeciwko zakłamywaniu historii tego mordu zaprotekowałem pierwszy raz wiosną 1965 roku – postanowiłem przypomnieć, że mija 25. rocznica Zbrodni Katyńskiej. Razem z kolegą, Bohdanem Walknowskim, synem oficera Wojska Polskiego zdecydowaliśmy się oblać czerwoną farbą tzw. pomnik wdzięczności przy placu Wolności, dzisiejszym placu Inwalidów w Krakowie. Zdobyliśmy czerwony tusz do pieczętek. Umówiliśmy się, że ja będę się przechadzał dokoła, obserwując sytuację, a Bohdan obleje kolumnę. Gdyby go aresztowali, miałem uciekać i dać znać jego rodzinie. Na szczęście wszystko się powiodło, a ja dałem mu z wdzięczności szablę kozacką z 1920 roku.

To był jeden z pierwszych w PRL aktów protestu przeciwko zakłamywaniu historii Katynia. Razem z Markiem Baterowiczem, który mieszka dziś w Australii i Łukaszem Łatakiem wypisywaliśmy na murach i w budkach telefonicznych słowo „Katyń”, także na murze zespołu szkół przy Alejach Mickiewicza. Píše o tym w donosie TW „Gałązka”, czyli Julek Gasiun – teraz używa nazwiska Gasiunus – brat mojej koleżanki. Ale to było za mało. Myślałem o organizacji, która będzie zbierać materiały i rozpowszechniać je nawet na skalę międzynarodową. Wiedziałem, że tylko my, Polacy, możemy upomnieć się, krzyknąć o pamięć.

- W PRL nie mieliśmy dostępu m.in. do dokumentów z ekshumacji w Katyniu, jaką przeprowadzili Niemcy w 1943 r.

- Uważałem, że trzeba koniecznie opublikować raport sir Owena O'Malleya, brytyjskiego ambasadora przy polskim rządzie emigracyjnym w Londynie, opracowany w 1943 roku na podstawie relacji ocalałych więźniów, wskazujący na winę Sowietów. Był także raport z 1952 roku opublikowany przez Komisję Maddena (...) Szukałem więc ludzi w różnych środowiskach ziemiańskich, kościelnym, duszpasterskim, którzy chcieliby zorganizować się w sprawie zbierania dokumentów i ujawniania prawdy. Na początku nikt nie chciał.

- A jednak znaleźli się tacy, którzy podjęli ryzyko. W 1978 roku powołał Pan z Andrzejem Kostrzewskim i Stanisławem Torem tajny Instytut Katyński.

- Stanisław Tor pochodził z Wołynia. Brał udział w kampanii wrześniowej; potem przez Karpaty przedostał się do Rumunii, a stamtąd na Bliski Wschód. Walczył pod Tobrukiem i o Monte Cassino. Po wojnie mieszkał w Wielkiej Brytanii, potem w USA, a w połowie lat 60. wrócił do Polski. Jego dom był położony w na uboczu, dlatego tam odbywały się później zebrania Studenckiego Komitetu Solidarności, Wolnych Związków Zawodowych, wreszcie -KPN. Jego brat mi opowiadał, jak w latach 60. Stanisław Tor zrobił sobie tablicę z napisem „Precz z kłamstwem” i chodził po Rynku Głównym. Zatrzymała go milicja. Ale musieli go zwolnić, gdyż nie mogli mu niczego udowodnić. Tor bronił się, że protestuje przeciwko kłamstwu w ogóle.

Stanisław Tor poznał mnie z byłym żołnierzem wywiadu AK, mecenasem Andrzejem Kostrzewskim (...) W Katyniu zginął brat jego matki, oficer Jan Biling. Jego mieszkanie pełne było pamiątek Wojska Polskiego. Okazało się, że Andrzej pasjonuje się historią wojskowości. W jego mieszkaniu w jeden wieczór i noc przygotowaliśmy strategię – co chcemy osiągnąć w ramach Instytutu Katyńskiego. Najpilniejsze było: ochrona dokumentów, listów, pocztówek z Katynia, książek, zdjęć ofiar. Trzeba było rozpowszechnić apel do społeczeństwa o udostępnianie materiałów.

Ustaliliśmy, że będziemy wydawać pismo „Biuletyn Katyński”. Kostrzewski, były żołnierz AK oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, miał zająć się redakcją. Miał masę dokumentacji, materiałów dotyczących m.in. Katynia też. Niektóre przywiózł z Londynu, gdzie po wojnie został jego ojciec. Utrzymywał kontakty z Polonią, poza tym – pracował w kancelarii, więc łatwo mu było zdobyć papier maszynowy, przebitkowy oraz kalki. Przez rok udało mu się zredagować i przepisać na przebitkach 23 numery „Biuletynu”.

- W roku 1978 Instytut nie mógł działać jawnie.

- Zdecydowaliśmy, że przez pierwszy rok będziemy działać w absolutnej konspiracji, ale przygotowujemy materiały, wydrukujemy ulotki i kilkanaście numerów „Biuletynu”. Ustaliliśmy, jakimi materiałami będziemy dysponować i opracowaliśmy tekst Statutu, Oświadczenia oraz Apelu do społeczeństwa o zbieranie materiałów. Dla bezpieczeństwa kontaktowaliśmy się z Torem głównie w kościołach. Potem ustaliliśmy, że tylko ja się ujawnię - za rok. Nie mieliśmy wątpliwości, że prędzej czy później wpadniemy, ale mogliśmy to opóźnić. Wiadomo było, że najpierw będą chodzić za mną i zarobimy w ten sposób trochę czasu. Ja miałem pełnić rolę kontaktu dla ludzi, którzy pod mój adres będą przynosić dokumentację i relacje dotyczące

Katynia. Byliśmy pewni, że przyjdą Sybiracy, ludzie, którzy doznali opresji komunistycznych – tak się zresztą stało.

- Instytut zyskał też nowych „działaczy”.

- W maju 1978 r. do naszego grona przystąpił inż. Leszek Martini. Pochodził z Sambora – miasta nad Dniestrem w obwodzie lwowskim, siedział w więzieniu we Lwowie. Wiedziałem więc, że nie zdradzi. Był krewnym prokuratora Romana Martiniego, jeńca obozu w Murnau, który prowadził w powojennej Polsce śledztwo w sprawie Katynia. Dostał polecenie władz, potrzebujących sfigowanego wyniku dochodzenia jeszcze przed procesem w Norymberdze. Został zamordowany – ta zbrodnia miała związek z Katyniem (...)

Później przypomniałem sobie, że mam kolegę ze studiów, Kazimierza Godłowskiego, którego ojciec, znakomity neurolog został zamordowany w Katyniu. (...) Powiedziałem mu, że założyliśmy Instytut, że najchętniej byśmy z nim współpracowali, a jak nie może, to żeby tylko spisał historię ojca. A jemu oczy się zapaliły i powiedział: „Oczywiście!” Okazało się, że był zaufanym człowiekiem prymasa Stefana Wyszyńskiego, w latach 50. przemycał uwięzionemu prymasowi dokumenty watykańskie w Bieszczady.

Miał ziemię z Katynia. Urwał się na dzień z naukowego sympozjum w Mińsku, znał rosyjski, więc mu się udało dotrzeć na groby. Myślę, że pomógł mu wygląd: blondyn, silnie zbudowany, z długą brodą. Przypominał ruskiego popa. Ubrał się w najgorsze szmaty, jakie znalazł, wziął czapkę-uszatkę i pojechał do Smoleńska, potem dotarł autobusem do Gniezdowa, a stamtąd - do Katynia (...)

- Pięciu odważnych ludzi zdecydowało się działać.

- Wkrótce nie byliśmy sami. W kwietniu 1979 roku ogłosiliśmy, że działa Instytut Katyński i zaczęliśmy rozdawać materiały. Pomagał nam Marian Banaś, wychowanek oaz ks. Blachnickiego. Wtedy kończył studia prawnicze. Wspierał nas też jego kolega - Ludwik Stasik. W rozpowszechnianiu katyńskich ulotek brała udział moja przyszła żona Jaga Dziedzic i jej koleżanka Krystyna, a także Jaś Franczyk – współzałożyciel w 1979 roku Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy w Nowej Hucie, jeden z redaktorów „Krzyża Nowohuckiego”. Był jeszcze Franciszek Grabczyk – też z Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy, inżynier w kombinacie, od 1979 roku musiał pracować jako robotnik w Zakładzie Ceramiki Budowlanej Zesławice w Nowej Hucie. Grabczyk to był niespokojny duch – w 1965 roku opowiadał się publicznie za budową kościoła w Nowej Hucie, za zwrotem ziem polskich zagarniętych po II wojnie przez ZSRS; potem pisał petycje do kogo się dało: szefa partii Edwarda Gierka, Rady Państwa, kard. Stefana Wyszyńskiego i kard. Karola Wojtyły, redakcji gazet w sprawie zwolnienia uczestników demonstracji w 1976 w Radomiu i Ursusie. No i był Mietek Majdzik. Najodważniejszy z nas. Bardzo się zapalił do sprawy Instytutu Katyńskiego. Od razu się zgłosił, kiedy „Wolna Europa” o nas powiedziała. Syn legionisty, wychowany w tradycji patriotycznej. Jego ojciec był ofiarą Zbrodni Katyńskiej, został zamordowany w Miednoje. Mietek był wcześniej aresztowany, na UB go torturowali, dostał wysoki wyrok, wyszedł dopiero w 1956 roku.

- Ale tylko Pana nazwisko i adres zostały opublikowane w Biuletynie Katyńskim.

- Ta strategia okazała się skuteczna. Być może chronił nas fakt, że sprawa Zbrodni Katyńskiej jest dla Polaków tak bolesna, iż nawet SB zbyt gorliwie mnie nie ściagało. Inni też nie próżnowali. Andrzej Kostrzewski przetłumaczył m.in. z angielskiego raport ambasadora O'Malleya, w którym ten stwierdza, że wszystkie dane wskazują na Sowieców jako wykonawców Zbrodni Katyńskiej (...) Kazik Godłowski opisał w jednym z numerów „Biuletynu” swoją podróż do Katynia. Ja miałem szukać możliwości druku.

- Nie było jednak łatwo znaleźć chętnych do drukowania rzeczy o Katyniu...

- Studenci byli chętni, ale mieli ograniczone możliwości - jakiś sitodruk. Zwróciłem się do KPN. Stanisław Janik-Palczewski wydrukował na powielaczu spirytusowym pierwszy „Biuletyn Katyński” z Romą Kahl-Stachniewicz. Wyszło im, niestety, bardzo słabo, druk był niebieskawym. Ale lepszej jakości wówczas nie mogli zrobić (...)

Pojechałem do Warszawy - do KOR-u oraz do Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z prośbą, aby to wydrukować. Szef KPN Leszek Moczulski obiecał, że wydrukuje. Potem powiedział, że zaraz po mojej wizycie przyszła SB, zrobili mu rewizję i wszystko zabrali (...)

Dostałem się do słynnego księdza Ziei, który był już ciężko chory. On brał udział już jako kapelan w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, potem - współzakładał KOR. Powiedziałem, że chcemy współpracować ze wszystkimi niezależnymi organizacjami, by ujawnić prawdę o Katyniu. Obiecał, że KOR ułatwi mi publikację. Natomiast Adam Michnik nie miał dla mnie czasu; oznajmił mi, że KOR Katyniem się nie będzie zajmować, bo Katyń to przeszłość, a KOR zajmuje się przyszłością. Przypomniałem mu: „Ale piszecie o marcu 1968”. „A to jest co innego” - powiedział i na tym rozmowa się skończyła. Jan Lityński też uważał, że pomysł jest zły, że ujawnienie Zbrodni Katyńskiej i upublicznienie tego powiększy przepaść między Polakami a Rosjanami. Od KOR usłyszałem, że jeżeli zakładałem KPN razem z Moczulskim, to nie możemy mieć kontaktu (...)

Jedynie ze Śreniowskim dało się rozmawiać o druku. Miałem adres pierwszej żony Lityńskiego, Anny Dodziuk. U niej zostawiłem jeden komplet „Biuletynów” do druku, miała je przekazać Józkowi Śreniowskiemu do Łodzi. Pamiętam, że byłem u KOR-owców jeszcze raz z prośbą, żeby rozgłośnia BBC i „Wolna Europa” wspomniały o Instytucie Katyńskim. I wtedy trafiłem na imieniny Seweryna Blumsztajna. (...) Nie byłem pewny, czy dadzą znać do „Wolnej Europy”. Potem się okazało, że ta podała informację o Instytucie.

- Czy była jakakolwiek reakcja społeczna na powstanie Instytutu Katyńskiego?

- Kiedy moje nazwisko ogłosili w „Wolnej Europie”, pod moim domem pojawiły się samochody z panami smutnymi. Sąsiedzi byli bardzo życzliwi, ostrzegali mnie, że na dole stoi UB. Nauczyłem się wtedy chodzić po dachach, wychodzić przez piwnice. Ale korzyści z ujawnienia mojego nazwiska i adresu w różnych podziemnych gazetkach były ogromne. Po pierwsze, zaczęto zgłaszać się z prośbami o prelekcje po akademikach, w duszpasterstwach, także dla

robotników z Nowej Huty (...) Po wtóre, zaczęły do mnie przychodzić różne osoby z ciekawymi relacjami na temat duplikatów niektórych materiałów katyńskich.

W listopadzie 1979 roku, zanim ukazały się „Biuletyny”, przeprowadziliśmy akcję na uniwersytecie. Były obchody rocznicy Sonderaktion, więc wydaliśmy ulotkę w 50 egzemplarzach, przepisaną na maszynie: z jednej strony nazwiska profesorów zmarłych w Sachsenhausen i innych obozach niemieckich, z drugiej – nazwiska profesorów UJ zabitych w Katyniu i Starobielsku. Po polsku i angielsku. Rozdałem te ulotki.

Przed Bożym Narodzeniem 1979 roku Anna Dodziuk przysłała mi telegram, który znaczył, że wszystko czeka wydrukowane(...) Danuta Staszewska, świetna graficzka, dała mi linoryt Matki Boskiej Katyńskiej - 40 na 30 centymetrów – ten dziś powszechnie znany. Powiedziała, że daje go Instytutowi, żebyśmy wykorzystali go tak, jak uznamy za pożyteczne. (...)

Dopiero po Nowym Roku 1980 roku materiały wydrukowane ostatecznie do mnie dotarły. Józiu Śreniowski przyjechał taksówką na dworzec z dwiema ciężkimi walizkami. Ja zabrałem to do Krakowa. Wsiadłem o 5.00 rano na dworcu, idę do tramwaju, śnieg pada, pełno tajniaków, bo już działa KOR, KPN, ROPCiO, Studencki Komitet Solidarności (...) Jednak Pan Bóg mnie strzegł i doniosłem te walizy do mojej pracowni malarskiej. Zaraz zacząłem drukować ten linoryt.

Niestety, bibuła była wydrukowana nieczytelnie. Po prostu ktoś oszczędzał na farbie. Ale linoryt to była rewelacja. Kilkanaście czarno-białych linorytów Matki Boskiej Katyńskiej dałem odważnym księżom i seminarzystom, m.in. Andrzejowi Zwolińskiemu oraz Tadziewi Isakowiczowi-Zaleskiemu, wtedy studentowi pierwszego roku seminarium. W absolutnej tajemnicy zrobili fotografie pocztówkowe i rozdawali to pod kościołami w okresie Wielkiego Postu, narażając się swoim wychowawcom. Ale zrobili dobrą robotę i Madonna Katyńska od 1980 roku weszła w przestrzeń publiczną jako bardzo czytelny znak zbrodni. „Solidarność” przedrukowywała ten linoryt później w wielkim formacie. Kiedy się dzisiaj na to patrzy, technika druku wydaje się prymitywna, ale wówczas to była doskonała jakość.

- Z drukiem Biuletynu nadal były jednak problemy.

- Pomogło środowisko studentów UJ, którym przewodziło kilku ludzi działających w drugiej połowie lat 70. w „Akcji na Rzecz Niepodległości”: Marian Banaś, Piotr Boroń, współzałożyciel Niepodległościowego Instytutu Wydawniczego, po strajkach sierpniowych pracownik Zarządu Regionu „Solidarności”. W grupie niepodległościowców był także Jurek Giza – w latach 80. organizator niezależnych wystaw historycznych, koncertów i obchodów świąt patriotycznych. No i Krzysiek Gąsiorowski, zmarły w 2003 roku, wtyka безпеki – jak się, niestety, okazało. Oni i Ludwik Stasik wydrukowali w 1980 roku 600 sztuk raportu komisji Maddena z 1952 roku, który Andrzej Kostrzewski przetłumaczył z angielskiego. Jan Franczyk zorganizował też świetne drukarnie, jeździł do Wrocławia, wydawał ładnie „Krzyż Nowohucki”. On mi zrobił pięknie raport O'Malleya. W 1981 roku wydrukował również doskonale „Zbrodnię katyńską w świetle dokumentów” autorstwa Józefa Mackiewicza. W 1980 roku pojawił się też Wojtek Wiśniewski, grotolaz, świetny drukarz, głęboko zakonspirowany, i wymyślił genialną rzecz: druk „Biuletynu

Katyńskiego" wielkości standardowej koperty, żeby każdy mógł go wysłać pocztą. Miał profesjonalnych drukarzy. Tylko drogo to kosztowało (...)

Od 1978 roku do grudnia 1981 roku ukazały się 32 numery „Biuletynu”. Potem nastąpił stan wojenny. Po formalnej rejestracji w sądzie Instytutu Katyńskiego w Polsce w 1991 roku zaczęła wychodzić druga seria „Biuletynu” – ukazało się jeszcze 12 numerów.

- Z drukiem innych wydawnictw też były kłopoty.

- Kiedy Jerzy Smorawiński, syn zamordowanego w Katyniu generała Mieczysława Smorawińskiego, który przyłączył się do nas w 1983 roku, przetłumaczył z angielskiego wydaną w USA „Śmierć w lesie” Janusza Kazimierza Zawodnego, w Krakowie nikt się nie podjął wydrukowania. W tym samym czasie dostałem z Londynu najnowszą, poprawioną listę katyńską. Listę miała nam wcześniej wydrukować „Solidarność”, ale lista „wpadła” 13 grudnia 1981 roku. Potem ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski miał drukować, ale władze kościelne odebrały mu dostęp do kopiarki. Szukałem możliwości, by wydać listę na rocznicę w 1985 roku. Maria Hernandez, uczestniczka demonstracjach studenckich w 1968 roku, współzałożycielka i członek redakcji podziemnej „Arki”, wzięła to wiosną 1984 roku (...)

Chodziłem też do „Tygodnika Powszechnego”, nie wiedząc, że jedna z pań tam pracujących, bardzo miła, była przez lata tajnym współpracownikiem SB (...) Wreszcie pojechałem do Wrocławia, do współpracującego z nami Leszka Stefana, On znalazł drukarzy, tyle że trzeba im było zapłacić. Zaproponowałem, żeby sami to sprzedali i wzięli zysk. Tak zrobili, ale nie dali nic dla Instytutu Katyńskiego. Wyszło więc na to, że drukarze nas nacięli.

- A jaka była reakcja bezpieki na podanie informacji o powstaniu Instytutu Katyńskiego?

- SB wezwała mnie w lutym 1980 roku. Przyjechał z Warszawy pułkownik Zalewski. Był uprzedzająco grzeczny, najpierw opowiedział historię swojej rodziny z Kresów. Mówił: „Wiem, że pana stryj został zabity w Katyniu... My to kiedyś ujawnimy, bo wszystkie dokumenty są i w Polsce, i na Ukrainie, i na Białorusi, ale na razie, widzi pan: mamy drugie miejsce w produkcji ziemniaków, stali też, a wszystko dzięki temu, że chroni nas Związek Radziecki. I bezpiecznie żyjemy, i szkoła dla dzieci jest za darmo... Co pan chce? Zepsuć to? Ujawni pan, żeby co? Żeby rewolucję w Polsce zrobić? (...) Niech pan to schowa na razie”.

Koło południa pojawił się inny facet i mówi: „Graliśmy razem w piłkę nożną na Placu Wolnica 30 lat temu. Nie bądź frajer. Możesz żądać obiadu, możesz wezwać lekarza. A jeśli masz przy sobie coś trefnego, to daj mi to, a ja sobie poczytam i ci potem oddam” (...) I jeszcze powiedział: „Masz prawo, jeżeli ci zimno, żądać, żeby cię zaprowadzili do ciepłej celi. Chcesz coś zjeść? To ja zaraz zamówię obiad dla ciebie, z jakiej restauracji?”. Byłem przerażony tą nadzwyczajną uprzejmością (...)

Kiedy wrócił pułkownik, powiedziałem: „Postaram się nie rozpowszechniać tak szeroko, tylko wśród naukowców – mam kolegów historyków”. Nie żądał ode mnie żadnego podpisu. I wypuścili mnie.

Potem w kwietniu 1980 roku miałem wygłosić prelekcję o Katyniu w Bielsku-Białej. Spotkanie z młodzieżą zorganizował Zdzisław Mnich, działacz pierwszych niezależnych związków zawodowych (...) Niestety, zostaliśmy zatrzymani. Siedziałem ponad 50 godzin, przyszła Niedziela Palmowa, dzwonią dzwony, więc zacząłem kopać w drzwi, wołać: „Do kościoła, do kościoła, na Niedzielę Palmową”, bo już siedziałem ponad 48 godzin.

Przyszedł jakiś starszy milicjant i mówi: „Panie Macedoński, ja bym sam pana wypuścił, ale nie mamy przepisów, żeby zwalniać do kościoła, muszę dostać polecenie” (...) Może za pół godziny drzwi się otwierają i dwóch młodych ubeków wchodzi: „Niech pan się zbiera, pojedzie pan do kościoła”. Zawieźli mnie na stację. Tak się skończyła prelekcja.

- Potem był stan wojenny, co dla Pana wiązało się z internowaniem, a więc przerwaniem wszelkiej aktywności, ale Instytut Katyński wrócił do życia...

- Kiedy wyszedłem z więzienia, zaczęliśmy się z Andrzejem Kostrzewskim zastanawiać, co dalej. Zostali Leszek Martini i Kazik Godłowski. Wówczas dotarł do nas niemiecki dokument, który dostawało Ludowe Wojsko Polskie, przetłumaczony na polski. W tym dokumencie oskarżano syjonistów o Zbrodnię Katyńską. Trzeba było jakoś zareagować. Andrzej znalazł w spisie ofiar Katynia nazwiska żydowskie i wyszło nam, że około 280 osób zamordowanych było Żydami. Wysłaliśmy tę informację do Londynu do jeszcze istniejącego tam rządu polskiego. Pisaliśmy też petycje w sprawie Zbrodni Katyńskiej do Rady Państwa. Przy okazji spotkań u dominikanów zbierałem podpisy – nieraz ponad 100 – w sprawie ujawnienia sprawców Zbrodni Katyńskiej, apele o roztoczenie opieki nad tymi, którzy przeszli Sybir. Jeździłem po różnych miastach, ośrodkach akademickich z prelekcjami o Zbrodni Katyńskiej. Jeździłem autostopem.

- Nie bał się Pan?

- Często odbierałem głuche telefony, słyszałem tylko oddech. Był strach mój i mojej rodziny. Sąsiedzi mówili: znowu stoją te dwa samochody (...) To, że ocalałem życie, że nic się nie stało, tłumaczę sobie tym, że nawet ubecja się łamała przy sprawie Katynia.

- Działalność tajnego Instytutu Katyńskiego skończyła się po 1989 roku.

- Zarejestrowaliśmy się 7 maja 1991 roku. Instytut Katyński w Polsce zawiesił działalność w 2005 roku, kiedy prezesem IPN został profesor Janusz Kurtyka i IPN jako instytucja państwowa przejął badanie Zbrodni Katyńskiej.

Rozmawiała Anna Zechenter z krakowskiego IPN

Wywiad jest fragmentem książki „Pod czerwoną okupacją” – wywiadu-rzeki, jaką przeprowadziła Anna Zechenter z Adamem Macedońskim, artystą plastykiem, poetą, niezwykłym człowiekiem całe życie walczącym o prawdę, wolność i niepodległość Polski. Opublikowało ją w 2013 r. Wydawnictwo AA



Adam Macedoński z Andrzejem Kostrzewskim, ok. 2005 r.



Linoryt Matki Boskiej Katyńskiej autorstwa Danuty Staszewskiej.



Pierwsze numery „Biuletynu Katyńskiego”, drukowane w podziemiu w 1979 r.